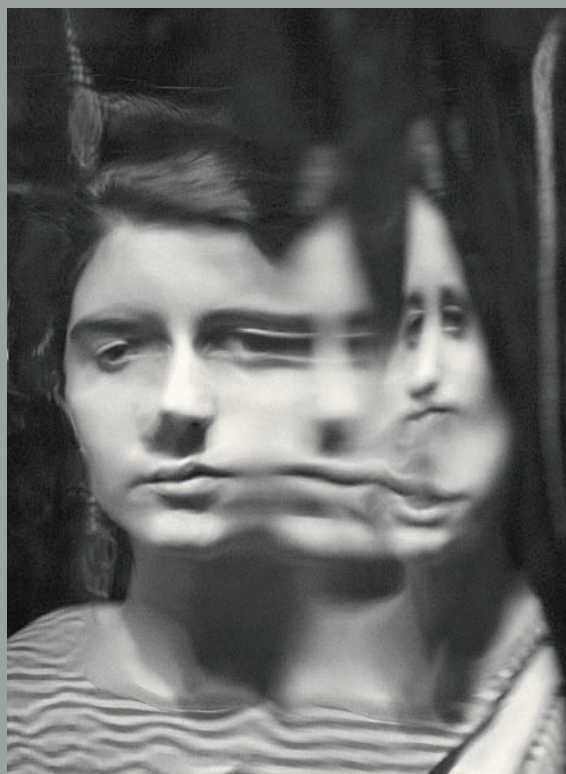


Lore Segal

Lucinella



Lore Segal

Lucinella

Przekład Magda Heydel

Posłowie Barbara Kopec-Umiastowska



Wydawnictwo Ossolineum

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Tytuł oryginału *Lucinella*

First published by Farrar, Straus and Giroux, 1976

Copyright © Segal, Lore Groszmann

Copyright © for the Polish edition by Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 2018

Copyright © for the Polish translation by Magda Heydel, 2018

Posłowie: Copyright © by Barbara Kopeć-Umiastowska, 2018

Wydanie pierwsze

Wrocław 2018

Niezmiennie i znowu
Davidowi

Lucinella – tak mam na imię. Noszę okulary. Przyjechałam tu po raz pierwszy, a już jestem zakochana w całej piątce poetów, w czterech mężczyznach i jednej kobiecie, oraz w otyłym psie, który wabi się Winifred.

Lekarz Winterneeta zalecił mi ruch... tak! Wyobraźcie sobie – jestem tutaj razem z J.D. Winterneetem! Weszło nam w zwyczaj, że w pierwszym bladym świetle poranka, jeszcze przed śniadaniem, spacerujemy razem wokół jeziora. Strasznie go lubię. Jest starszy od nas wszystkich. My po prostu piszemy wiersze, a Winterneet to słynny poeta. Ta jego sława jest szalenie atrakcyjna. Winterneet jest łysy, ma szlachetnie sklepioną czaszkę, a wszystko, co poniżej, wygląda, jakby było tylko dodatkiem. Jestem pewna, że stopy ma różowiutkie jak osesek. Cały czas myślę, że on w pewnym momencie musi się zorientować, że ja zasadniczo w większości nie wiem, o czym gadam. Mówię mu o tym, ale okazuje się, że Winterneet jest mensch. Wspomniał, zdaje się, że czytał moje wiersze, lecz w tym momencie obłok zasnuł moje zmysły i ta chwila odeszła na zawsze. Nie, wcale nie! Winterneet mówi, że podoba

mu się to, jak wyciskam ze znaczeń ostatnią kroplę, zanim każę się im rozpaść. Nie za bardzo rozpoznaję się w tym opisie, ale brzmi dobrze. Winterneet mówi, że czasami jestem całkiem dowcipna. W piersi, tam, gdzie spodziewam się poczuć rozkosz, jest pustka. Mówię mu o tym. A on, że owszem, pochwała nigdy nie przynosi spodziewanej przyjemności, tymczasem najmniejsza uwaga krytyczna dostarcza pełnej miary cierpienia, lekceważenia zaś po prostu nie da się znieść.

– Nawet ty! – wykrzykuję.

– Chyba żartujesz? – odpowiada.

Winterneet opowiada mi o wszystkich poetach, którzy bywali tutaj, w Yaddo. Ten sam Winterneet, który teraz przechadza się ze mną, przechadzał się kiedyś z Roethkem, śniadania jadał ze Snodgrassem i Jarrellem – i z Audenem! Frost to jego kuzyn w drugiej linii; do szkoły chodził z Poundem, raz wybrał się aż do Irlandii na herbatkę do Yeatsa i spędził weekend z Matthew Arnoldem i jego żoną. Pamięta czasy, kiedy Keats zwymiotował, wracając do domu po lekcji anatomii; powiada, że podziwia poezję Wordswortha, ale człowieka nie był w stanie znieść. Uwielbiał Johnsona i nie ma żadnego zamiaru czytać ostatniego tomu Boswella. Dobrze znał Stellę, jak twierdzi, i daje do zrozumienia, że wie, czy sypiała z Dziekanem Swiftem, czy nie.

Lubi też słuchać moich historyjek i stwarza dla mnie w przestrzeni swojej uwagi miejsce, w którym rozkwitam. Zatrzymuje się, odwraca ku mnie i dokładnie takim tonem jak trzeba mówi:

– Bystra j e s t e ś!

Czuję zadowolenie, ale także rozczarowanie, bo nie powiedział, że jestem piękna. Przedstawiam Winterneetowi swoją teorię, że żyjemy na huśtawce między arogancją a służalczością. Rozumie, co mówię, i to mnie kręci.

Masuję punkt położony o cal i ćwierć nad ogonem Winifreda, który wtedy zamyka oczy, wypręża kark i niemal niezauważalnie kiwa głową z boku na bok; u reszty z nas te punkty nie są tak dogodnie położone.

Ponieważ Winifred jest prawdziwym psem, zmieniam mu płęć, by chronić jego prywatność. Poetów, czyli Meyersa, Winterneeta, Betterwheatlinga, Pavlovenkę i Berta, a w razie potrzeby także kolejnych, wymyślam od zera. Nie, to nieprawda. Moja pomysłowość, zanim zabierze się do roboty, domaga się jakiegoś ciała, ale na to ciało nasadzę własną głowę. Wymyślę jakieś oko, gdzieś pożyczę sobie jakiś nos czy dwa, albo wąsy, albo coś zabawnego, co ktoś powiedział, oraz sweter w kolorze zielonego groszku, więc nie ma sensu, żebyście próbowali wkładać swoje klucze do moich zamków i odgadywać, kto jest kim.

Sama jestem młodą poetką, dwudziestoparolatką dobijającą do czterdziestki. Jeszcze o mnie nie słyszeliście. (Lucinella, tak się nazywam). W mieście należę do typu introwertycznego, intelektualnego, ale tutaj zamieniam się w rosyjską powieść.

– Zakochałam się w was wszystkich – mówię poetom. Poeci to rozumieją i dalej jedzą śniadanie.

Ten po mojej lewej to Meyers, słodzi właśnie owsiankę brązowym cukrem. (Czytaliście jego ostatnią książkę, tę, która dostała Pulitzera pięć lat temu – o tym, jak się boi,

że zaczyna popadać w szaleństwo). Naprzeciwko nas siedzi Betterwheatling, angielski krytyk. (Często widzi się jego nazwisko w „New York Review of Books”). Nalewa Pavlovence kawę do filiżanki na herbatę. Pavlovenka chichocze. (O niej nie słyszeliście i przypuszczalnie nie usłyszycie). Ma czterdziestkę na karku, wymiary pięć stóp na cztery na cztery, autentyczna Rosjanka. Obejmuje nas wszystkich swym namiętym i szczęśliwym wzrokiem. Nie jestem w stanie jej znieść w zbyt dużych dawkach, ale ją lubię, naprawdę jednak lubię Betterwheatlinga. (To ten angielski krytyk. Spróbujcie się połapać w tych moich poetach, wiem, że nie jest to łatwe). Dowcip ma Betterwheatling zawoalowany, a wymiary spore (ja lubię duży format), i podoba mi się, że jest taki angielski. Meyersa uwielbiam. Twarz ma białą, oczy niebieskie w różowych obwódkach i opadające, wielkie blond wąsy. Meyers opowiada cudowne, zabawne historyjki. No i lubię jego Pulitzera.

Opowiadam mu o swoim problemie. Weź, mówię, tę ogromną jadalnię, obitą ciemnym drewnem i zalaną światłem słonecznym, gdzie siedzimy na dziewiętnastowiecznych angielskich krzesłach, na modłę średniowiecznych zydli zdobionych wypukłymi płaskorzeźbami łagodnych, niskopiennych rycerzy, którzy wbijają nam w plecy szable i halabardy; albo tę stojącą na środku stołu wielką srebrną wazę pełną róż – nawet jeśli nie koncentrujemy się na fizycznym otoczeniu, to ono mimo wszystko przesącza się do naszej świadomości. Jak sprawić, by przesączało się także do moich wierszy, ale bez żadnego kombinowania? Nienawidzę sztuczek.

Ponieważ wiem, że ta sprawa nie ma żadnego znaczenia dla tego, co pisze Meyers, pytam go, nad czym teraz pracuje. Mówi, że nad dłuższym wersem z przemiennymi klauzulami, w czym się kompletnie zakałapułkał.

– Czy do Yaddo nie przyjeżdżał Roethke? – pyta.

Winterneet opowiada nam, jak przywoził tu kiedyś Roethkego z sanatorium. Po drodze, mówi, Roethke odezwał się tylko raz, żeby zapytać, kto jeszcze będzie. Bał się ludzi, a to było już pod koniec sezonu – mniej więcej ta sama pora roku, co teraz. Letni tłumek już się zmył; grono było niewielkie i spokojne. Winterneet mówi, że pamięta dzień, kiedy we dwóch z Roethkem spacerowali z tyłu, za warzywnikami, i odkryli piwniczkę. (*Piwniczka*. Mam zamiar napisać wiersz pod tytułem *Euforia w piwniczce*. O grupce poetów, którzy wchodzą do piwniczki z wiersza Roethkego).

– A co to jest, ta piwniczka? – pytam Meyersa, który wpatruje się w Winterneeta.

– Roethkemu dobrze się pracowało w Yaddo, ale są tacy, co przyjeżdżali i natychmiast się rozsypywali – mówi Winterneet.

– Kto? Bo co się stało? – pytam. Uwielbiam historyjki. Ale J. D. Winterneet już skończył śniadanie. Mówi, że opowie mi jutro rano podczas spaceru. I wychodzi.

Bert, rudy poeta z New Jersey (nie, nie, ja też dotąd o nim nie słyszałam), przychodzi na śniadanie późno i z rozdrażnieniem w głosie mówi:

– Dobry wszystkim.

Jakoś nigdy nie miałam przekonania do rudych mężczyzn, ale Berta nawet lubię. Parę razy jedliśmy wspólnie lunch, w południe, na tarasie.

Pogoda dzień w dzień znakomita. Zarys najbliższego listka i zarys najdalszych gór na horyzoncie są równie ostre. Winifred zatapia zęby w czaszce kreta i potrząsa truchłem. Trzask łamanych kręgow nie sie wyraźnie po toni jeziora. Kamienna ławka jest gorąca, gdy jej dotknąć; staromodny zapach późnych róż unosi się w powietrzu niczym sentymentalne Cnoty, które przeznaczyły tę Pośiadłość na służbę Sztuce.

W wierszu, który mam zamiar napisać, bohaterka, stworzona z lewego żebra Lucinelli, będzie przechadzać się po różnym ogrodzie w poszukiwaniu towarzystwa i napotka Pavlovenkę (lepsze to niż nic). A Pavlovenka powie, żeby poszła z nią zobaczyć, co takiego znalazła, bo jej nie zdradzi, co to! Lucinella ruszy za nią, obok warzywnika, wokół szklarni, na skos przez wysoką trawę przy stosie drewna, tam, gdzie ten czerwony daszek, jakby cyrkumfleks postawiony nad ziemią. Z drugiej strony daszek jest troszkę wyższy, a pod nim znajdują się drzwiczki. Lucinella i Pavlovenka odsuwają miękkie, ciepłe, wilgotne, butwiejące pozostałości po kilku jesieniach, otwierają drzwiczki, pochylają się i równocześnie wkładają głowy w głąb Poezji. Światło przenika przez fioletowy kurz i zabarwia ziemię na różowo. Patrzcie! Tu skorupy urny figuralnej, a tam, w kącie, lśni potężna, porwana pajęczyna, utkana z nici uprzędzonej przez Rumpelsztyka, aby wcisnąć królowi do łóżka córkę młynarza, która miała dla niego, dla biednego, złego, pomarszczonego i garbatego Rumpelsztyka, począć królewskie dziecię. W moim wierszu dwie kobiety gwałtownie łapią powietrze, wydają okrzyk i chwytają się za ręce.

Te drobne postaci, które kręcą się wokół fontanny na końcu wielkiego trawnika, przybyły z miasteczka. Spoglądają w górę. Nigdy nie pokazują palcami. Mówią sobie:

– O tam, w słońcu na tarasie, to musi być poetka!

A to tylko ja! Może mnie zresztą wcale nie zauważyli. Nikt mnie nie widzi. Pobiegnę i napiszę ten swój wiersz, i podpiszę go: Lucinella. Ukaże się w jakimś piśmie, które będzie leżało w kiosku. Weźmiesz je do ręki i mnie przeczytasz, a wtedy ta pustka w mojej piersi się wypełni.

Teraz Bert wychyla się z okrągłej wieżyczki, w której pracuje. Dostrzega mnie i macha. Idzie przez taras, niosąc termos i pudełko z drugim śniadaniem, niczym mały, czarny sarkofażek.

– Co tam? – pytam.

– Nie widać? – odpowiada.

Bert i ja popadliśmy beznadziejnie w wymianę nieprzyzwoitości. Nie jest na razie pewne, dokąd zmierzamy. Pełnia, dzięki której ja na powrót zamieniam się w dziewicę, a przed nim po raz kolejny zamyka się sekret, jak przeprowadzić kobietę od żartów na tarasie dwa piętra wyżej, do swojego łóżka. Bert markotnieje.

– Gorąco – mówi.

– Zdejmij to – odpowiadam.

– Jednostronnie? – pyta.

– Śmiało, najwyżej będziesz jednostronnie zły.

Umięśnione, brutalne ramiona Berta rozpierają turkusową bluzę obszytą biało-pomarańczową lamówką. A jak o n wpadł w poezję, pytam. Nieciekawa historia, mówi. Ja na to, że nie ma nieciekawych historii. Patrząc spode łba, opowiada, że kiedy miał piętnaście lat, w bibliotece pu-

blicznej odkrył Milтона. Rozejrzał się dokoła, mówi, popatrzył na bibliotekarkę, która akurat wylawiała ze skórzanej torebki chusteczkę higieniczną; potem na dziewczynę, robiącą notatki z *Badań rynku*. Wszędobyłski staruszek, co to zawsze drzemie w każdej bibliotece, spał sobie spokojnie. A Bert się zastanawiał – ten cały Milton jest tu od trzystu lat, a nikt o tym nie wie, tylko ja jeden! Prawda mnie kręci, ale prawda Berta nie należy do prawd typu nowojorskiego, zbyt wyszlizganych od częstego używania. Bert nie ma autobiograficznych nawyków, niezgrabnie przechodzi od jednego skromnego wydarzenia do drugiego, aż wreszcie przy ich pomocy dociera stamtąd tutaj. Potem objawienie na obozie survivalowym, gdzie taki jeden chłopak, który potem zginął, pisał wiersze wyłącznie o sobie – niezbyt zresztą dobre. Na mocy ustawy o pomocy rodzinom weteranów wojennych Bert trafił do Nowego Jorku. Jego żona dostała pracę w Macy's. On zapisał się na kurs do Lowella. A Lowell raz mówi do niego: „S a m teraz próbuję robić to”. I kazał mu tłumaczyć.

– Rilkego – mówi Bert.

Szczery, pomarańczowy profil Berta pochyła się nad parapetem. Zapomniał o mnie.

– Pokażesz mi – odzywam się – kiedyś coś swojego?

Czemu o to p r o s z ę? Co zrobię, jeśli okaże się, że jest straszny, rzecz statystycznie znacznie bardziej prawdopodobna niż to, że jest dobry? A jeśli jest świetny, to co mu powiem?

– Nie chcesz, żebym ci pokazał – odpowiada Bert. Jest nie w sosie. Tak samo jak nasz stary dobry znajomy, tonący człowiek, któremu nagle całe życie przelatuje wstecz

przed oczami w takim tempie, że wszystkie głosy brzmią jak skrzeczenie Kaczora Donalda, tak Bert przegląda teraz swoje wiersze moim wzrokiem, przed którym zaraz ukażą się również jego serce, wątroba i płuca, a pewnie także i ten pompatyczny dwuwiersz o Bombie, który najprawdopodobniej powinien wykreślić, tyle że to są być może dwie najlepsze linijki, jakie napisał w życiu, a tu jest wiersz, który machnął wczoraj, o tym, jak poluzował sobie but i spomiędzy pętelek sznurówki rozsypał ekstazę; a nuż będę tak uprzejma, żeby dostrzec ironię, której nie planował, a także usłyszeć w efektownym zakończeniu wyjące samogłoski? Żołądek Berta w mgnieniu oka przechodzi od arogancji do służalczości i wznosi się, by opaść i jeszcze raz się wznieść. Nie może mi zostawić rękopisu na stole, skąd zabieramy listy i gdzie przyklejamy złożone na pół zaproszenia na tenisa o czwartej lub na drinka o 17.15. Nie ufa tym kartkom, nie wierzy, że będą tam spokojnie leżeć i mieścić go w sobie. Jakże ma dokonać owego niewymownie delikatnego transferu swojego dzieła do moich rąk? Przyniesie mi rękopis, powiada, do pokoju, kiedy pójdę się przebrać przed obiadem.

– I wsuniesz mi go – dodaję bezlitośnie, beznadziejnie.

Każde z nas po kolei stwierdza, że jest już po śniadaniu, i wymyka się z jadalni. (Pavlovenka zostaje, żeby dotrzymać towarzystwa Bertowi, co doprowadzi go do szału). Zbieramy się ponownie w pokojach od podwórza, gdzie wyłożono „New York Timesa”. Winterneet ma strony o książkach. Ja przeglądam spokojnie kryzysy ostatniego tygodnia – nie ma takiego wybuchu, który by dotarł

dwieście mil w głąb stanu Nowy Jork. Robi się ze mnie republikanka!

Mimo że wzięliśmy już z półki pudełka z drugim śniadaniem, zwlekamy jeszcze chwilę, niezbyt chętni, by się do czegokolwiek zabrać, aż Winterneet energicznie odkłada gazetę i rusza na górę.

Moja pracownia jest kawałek dalej, przy alejce. Betterwheatlinga – głębiej w lesie. Rozmawiając zdawkowo, z myślami już na wpół we własnej robocie, idziemy spacerkiem do miejsc, gdzie się nawzajem nie zapraszamy.

Ostrzę ołówki i siedzę, gapiąc się w okno. Przechodzi Pavlovenka w drodze do lasu. Lubi pisać na łonie natury.

Pavlovenka przeszła. Przejeżdża samochód na wygłuszonych oponach i scena chwilowo pustoszeje. Drzewa połyskują w porannym słońcu. Potem przejdzie dwóch ogrodników, dźwigających narzędzia. Nawet Winifred, który został poddany praniu mózgu w kwestii wielkiego znaczenia poezji oraz konieczności doceniania poetów, idzie załatwić swoje sprawy na bezgłośnych łąkach. Odziana w biały len pokojówka, stateczna, w średnim wieku, uchyla drzwi, widzi, że siedzę przy biurku, więc się wycofuje, ale wołam ją z powrotem. Muszę się przejść.

W oddali jak letni owad brzęczy kosiarka; pod wpływem woni świeżo skoszonej trawy nabrzmiewają mi pierś; zaciągam się pięciorgiem żywych poetów, zwiniętych jak papieros w bibułkę z dodatkiem tchnienia dzikiego tymianku, którego połacie rosną na wielkim, pochyłym trawniku, a płuca wypełnia mi euforia. Potrzeba mi teraz czyjejś obecności.

POSŁOWIE

*Nothing would give up life:
Even the dirt kept breathing a small breath.**

Theodore Roethke, *Root Cellar*

Opublikowany w 1948 roku wiersz Theodore'a Roethkego *Root Cellar* (Piwniczka) zaliczany jest do tak zwanych *greenhouse poems* (wierszy szklarniowych) i nawiązuje do dzieciństwa autora, którego ojciec prowadził prosperujące przedsiębiorstwo ogrodnicze. Tworząc ów opresyjnie zmysłowy obraz miejsca lekceważonego i drugorzędnego, gdzie w wilgotnej ciemności kielkują bulwy i cebule, poeta wzywał do szacunku i współczucia wobec wszystkiego, co wbrew całemu światu usiłuje przetrwać – zagrożonych wyginięciem zwierząt, „wynaturzonej” i tępionej sztuki, kraju w stanie zamętu, narodu w obliczu zagłady.

Czy bohaterka powieści Segal *Lucinella*, pisząc wiersz pod tytułem *Euforia w piwniczce* „o grupce poetów, którzy wchodzą do piwniczki z wiersza Roethkego”, pamięta o tym, że Roethke, tak jak ona, spędził pewien czas w kolonii artystycznej Yaddo pod Nowym Jorkiem? Jakże

* W przekładzie filologicznym: „Nic nie chciało zrezygnować z życia/
Nawet ziemia wciąż trochę oddychała”.

znaczenie ma fakt, że rosyjska poetka Pavlovenka po prostu odkrywa piwniczkę w ogrodzie Yaddo? O kim pisze student piszący wiersz „o poecie piszącym wiersz w swoim wierszu”? A może – zaryzykujemy – przywołanie lirycznej inwokacji Roethkego na cześć czepiających się życia korzeni w jakiś sposób odzwierciedla powrót samej Segal do przeszłości?

Wszystkie powyższe pytania są tyleż uzasadnione, co daremne. Na temat *Lucinelli* bowiem da się udzielić wielu prostych odpowiedzi, które jednak – ani razem, ani z osobna – nie powiedzą nam prawdy o tej książce.

W grudniu 1938 roku dziesięcioletnia Lore Segal (z domu Groszmann) opuściła Wiedeń jednym z pierwszych Kindertransportów – w ramach akcji ratunkowej, podczas której na kilka miesięcy przed wybuchem drugiej wojny światowej Wielka Brytania przyjęła prawie dziesięć tysięcy żydowskich dzieci z hitlerowskich Niemiec oraz z okupowanych bądź zagrożonych okupacją terenów Austrii, Czechosłowacji, Wolnego Miasta Gdańska i Polski. Dzieci te zostały umieszczone w rodzinach zastępczych, domach opieki, szkołach oraz na farmach, gdzie miały czekać na przyjazd rodziców. Większość z nich przeżyła wojnę, dla wszystkich jednak – jak pisze Cynthia Ozick – „była to pielgrzymka do bezradosnej Anglii i niedoli wygnania, do bolesnego i trwałego poczucia, że są czymś w rodzaju ludzkiej kontrabandy”*. Lore Segal spędziła w Anglii dziesięć

* C. Ozick, *Foreword*, w: L. Segal, *Other People's Houses*, New York 2014.

lat, następnie zaś, po trzech latach oczekiwania w rządzonej przez Rafaela Trujillo Dominikanie, uzyskała zgodę na wjazd do USA.

Dwadzieścia lat po doświadczeniu Kindertransportu autorka podjęła pracę nad cyklem fabularyzowanych wspomnień z tego okresu, zatytułowanym *Other People's Houses* (Cudze domy). Począwszy od 1961 roku poszczególne opowiadania ukazywały się w tygodniku „The New Yorker”, budząc wielkie zainteresowanie – uważa się nawet, że teksty Lore Segal przyczyniły się do uznania czasopisma za ważny moralny głos w amerykańskiej publicystyce – a cały zbiór, wydany w 1964 roku, spotkał się z życzliwym przyjęciem. Utwory te, pisane z dziecięcej perspektywy, mają głęboko przejmujący wydźwięk – niekiedy zabawne, a często naiwne, stanowią świadectwo zerwania ciągłości, rozchwiania pamięci, braku zakotwiczenia w języku. Autorka celowo redukuje własną pisarską dojrzałość i zanurza się w dziecięcym „ja”, które nie ocenia, a jedynie relacjonuje zjawiska i sytuacje z punktu widzenia dziewczynki z mieszczańskiej wiedeńskiej rodziny, przy czym rezultat tego zabiegu – połączenie niewinności, bystrości i niewiedzy – bywa przenikliwie ironiczny, boleśnie śmieszny, gorzko trafny, jak w opisie przeprawy promem przez kanał La Manche: „Gdy zostałam sama, usiadłam na łóżku i zaczęłam się modlić, aby dobry Bóg uchronił mnie od choroby morskiej, a moich rodziców od aresztowania”^{*}.

* L. Segal, dz. cyt.

SPIS RZECZY

Lucinella	5
NOTA TŁUMACZKI	191
POSŁOWIE	193